

# Damian Capenko



ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## *Damian Capenko*

Z Łuby, kamienieckiego powiatu, podolskiej gubernii, pogranicznej straży, zawichostskiej brygady, trzeciej rot, pierwszego oddziału gefreiter — tak się w urzędowym stylu rekomendował jednym tchem Damian Capenko. Pytany wszakże prywatnie, odpowiadał krótko: Małoros. Właściwie, objaśnienie to było zbyt technicznym, bo gdyby nawet czarne, rozmarzone oczy, śniada twarz i w wyraz smutnej łagodności ułożone usta nie uprzedzały o pochodzeniu Capenki, to sama jego pieśczoneymi brzmieniami śpiewająca mowa zaraz by je zdradziła. Mowa ta, przez lingwinistów z Przesmyka uważana za język pokaleczony, była czystym małoruskiem narzeczem, w które się wplątało kilkadziesiąt służbowych zwrotów żołnierskich. Po polsku wyrażał się Capenko bardzo poprawnie, przeciągał tylko zbyt jedne dźwięki a zmiękczał drugie, zachowując akcenty rodzinne. Wychowany przy dworze polaka, dziedzica Łuby na Podolu, gdzie ojciec jego był pasiecznikiem, potem jako rekrut przewieziony do straży pogranicznej w Przesmyku, miał sposobność tak przyswoić sobie język polski, że nim zarówno chłopom wymyślał, jak i pannie ekonomównie grzeczności prawił. Ta ostatnia nawet otrzymała podobno od niego na imieniny powinszowanie, szczęśliwymi rymami złożone.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż wszystkiemu temu, cośmy o naszym bohaterze na podstawie różnych źródeł powiedzieli, przeczył stanowczo niejaki Edward Tabor, handlarz zbożem, a jak mówiono, herszt kontrabandzistów w Przesmyku, który twierdził, że Capenko jest kałmukiem, że żadnego porządnego języka nie zna, że sobie do napisania owych rymów kogoś wynajął i że do panny Motylińskiej zaleca się dlatego tylko, ażeby od jej ojca dostać w podarku piękną ze srebrnym cybuszkiem fajkę. Zwracamy jednakże uwagę sumiennego czytelnika, że Tabor, który na pniu swego izraelskiego rodu zaszczerpił we własnej osobie aż trzy narodowościowe płonki: niemiecką, polską i rosyjską, sam żadnym językiem dobrze nie władał; że nadto jako konkurent do panny ekonomówny, a więc współzawodnik Capenki, musiał z tego względu w swych sądach o nim być stronny. Ściśle nawet biorąc, stronność ta ujawniała się jaskrawo.

Pewnego jesiennego dnia Tabor, idąc nad granicą i ogarniając okiem położenie, jak gdyby badał pole zbliżającej się walki, spostrzegł państwa Motylińskich, zajętych w ogrodzie przy kopaniu kartofli. Stał, poczekał aż każda z kopaczek głowę od motyki podniosła, wreszcie gdy ostatniej się przyjrzał, klasnął językiem, przymrużył maleńkie oczki, wywinął tłuste wargi i zsunąwszy czapkę na tył kędzierzawej głowy, zwrócił się do domu. Wkrótce jednak wyszedł znowu i szybkim krokiem podążył w kierunku oficyn dworskich. Panna Hortensya Motylińska, dziewczica w ciału bogata, czerwonością pulchnej twarzy czarowna, a niegasnącym w oczach i ustach uśmiechem zwyciężająca, siedziała właśnie w swem gniazdku przy oknie, dziergając żółtą, włóczkową chusteczkę. Spostrzegłszy idącego Tabora, roześmiała się, wysunęła przeciw niemu urągliwie język i odbiegła od okna. Odbiegła po to tylko, ażeby się przejrzeć w zwierciadle i z bukietu astrów, stojącego w szklance na komodzie, wpiąć kilka kwiatów w cieniutkie, wypomadowane warkoczyki, które przez szerokość jej dużej głowy ledwie do siebie sięgnąć i w mały węzełek z tyłu zawiązać się mogły.

— Niema taty — rzekła z chmurką na czole, z której przeświecały promienie wesołej kokieterii.

— Po co nam tata? — odparł Tabor, wyjmując z pod palta i kładąc na stole sztuczkę perkaliku, którego brzeg zręcznie odwinął.

Widok wzorzystej materyi — której barwy pięknie łączyły rumieniec twarzy, żółtość chusteczki i zieloność sukni panny Hortensyi — przykuł do siebie jej zdumione oczy. Wkrótce jednak opamiętała się i ogryzając paznokiec, rzekła:

— Pan ma to na sprzedaż?

— Ja na sprzedaż dla panna Hortensya nic nie mam, ale wszystko mam na darowanie.

— Nie potrzebuję, nie potrzebuję — wołała panna Hortensya, spoglądając ukradkiem na perkalik. Niech pan sobie zabierze.

— Panno, aniele, czy to ja nie wiem, że mogłabyś lepszą rzecz sobie kupić, ale czemu nie przyjąć ten drobiazg, kiedy ja z otwartym sercem daję?

Ujął ją za czerwoną rękę i oblizując wargi, wpatrywał się w tłustą jej talię z takim zachwytem, jak gdyby przyspieszony rytm jej skrzypiącego oddechu wszystko mu obiecywał.

— Panno, aniele...

Drgnął, uciał nagle, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Capenko.

— Idź pan do kaduka! — zawołała panna Hortensya, odrzucając Tabora.

W jej słowach i geście wyczytał Capenko wyraźny dowód wierności, a domyśliwszy się, że trafił na scenę kuszenia, spytał gniewnie:

— Skąd ten perkal?

— Ze sklepu — odrzekł zuchwale Tabor.

— A gdzie plomba?

— Co plomba, czy to medal albo order, który nosić trzeba? Ja tego nie sprzedaję, tylko kupilem, mnie plombę oderwać wolno.

— A mnie wolno zabrać — krzyczał Capenko — to kontrabanda!

— Co pan gwałt robisz, pańskie miejsce na granicy, pan nie masz rozkazu dom rewidować!

Capenko jednak nie dał się odstraszyć, porwał perkalik, chwycił Tabora za ramię, krzyząc:

— Pójdziemy do kapitana, do kapitana!

— Nie zje mnie, nie zje! — wrzeszczał, opierając się Tabor.

Ale panna Hortensya, której podczas tego szamotania uśmiech przygasł i rumieniec pobladł, przerażona obawą odpowiedzialności a może i utratą podarku, przybiegła do Capenki.

— Panie Damianie, mój kochany, najdroższy panie Damianie, daj mu pokój, niech go tam kaczkę zdepczą.

— Czy to on dla pani przyniósł?

— Nie chciałam — mówiła zawstydzona — a on koniecznie i koniecznie....

— No — rzekł Capenko — ja daruję, bo ta pani prosi; ale żebyś nie dawał jej rzeczy przemycanych, to ja ten perkalik od pana kupię. Masz rubla!

— Oj, oj, jaki pan — drwił Tabor — rubla za sztuczkę po 30 centów łokieć! Daj kopiejkę!

— Nie chcesz pan, to ja darmo mieć będę, a pan jeszcze karę zapłacisz.

— Weź pan, weź — namawiała panna Hortensya.

— Juści wezmę, bo co mam ze zbrojem robić — rzekł rozgniewany Tabor i wyszedł.

Gdyby Capenko był przez okno dostrzegł, że jego przeciwnik udał się do kapitana, byłby w słodkich chwilach rozkosznego sam-na-sam z panną Hortensyą poczuł gorzką kroplę niepokoju. Ale on, uśmierzywszy gniew kilkoma przekleństwami, zatopił się w własnym wylewie miłości do panny Hortensyi, która, nie licząc innych względów, w zadowoleniu jej prośby i sztuczce perkaliku miała dość powodów do wynagrodzenia go obfitszą niż zwykle laskawością.

Jakie zamiary narodziły się skrycie w głowie wzburzonego Tabora, z jego martwej, gęsto obrosłej twarzy odgadnąć było trudno. Przyszedłszy wszakże do kapitana, zażądał tylko kartki na przejście granicy.

— Wszystko to dobrze, mój panie Tabor — rzekł kapitan — ale mnie znowu donoszą, że pan najmujesz chłopów, którzy dla ciebie przemycają towary.

— Ja, ja, co czterdzieści lat *przeciwzakonne* nie pomyślałem? Panie majorze — jestem chrześcian, żeby moje zbawienie nie doczekał, jeśli kto dowiedzie taki *feler* w moim

charakterze. Czy to nie prowadzę handel, żebym się w kontrabandę bawił? Jak pan major mógł nawet dopuścić taki *donos*?

— No, ja teraz nic nie dopuszczam, ale ostrzegam, że jak złapię, będzie źle.

— Niech będzie źle, niech mnie pojną, niech zastrzelą, niech prawo ze mną zrobi, co najbardziej zechce, ja spokojny. Ach, panie majorze, wiem, kto mnie prześladuje — Capenko, chociaż ja na niego dotąd nic nie powiedział.

— A cóżbyś pan mógł powiedzieć?

— No, nic, bo że pannie Motylińskiej dał dziś sztuczkę austriackiego perkaliku, nie wielka rzecz.

— Nie kłam pan, Capenko wierny żołnierz.

— Być może, ale i wierny kochanek.

— Ja słyszałem, że to pan koło Motylińskiej tańczysz.

— Tańczę koło jej ojca, żeby mi u dziedzica dzierżawę ogrodu przy kordonie odnowił.

— Na co panu ten ogród, jeśli ja krzaki przy nim wyciąć każę?

— Pan major znowu mnie przytyka. Czy ja graniczny złodziej; kto widział, żebym w tych krzakach co ukrył?

— No, może jeszcze zobaczymy.

— Niech pan major takie rzeczy nie gada, bo słuchać przykro. Nie ma pan co do Szczurowy — ja tam jadę.

— Nic.

— Ja kawy dla pani przywiozę.

Tabor oddalił się.

Przeszedłszy granicę, o kilka staj za nią spotkał leżącego przy drodze, znanego w okolicy Postułkę. Był to jeden z najrzęczniejszych kontrabandzistów, zuch, który się chwalił, że jeszcze w życiu nie rozmawiał ze strażnikiem granicznym, nie mając przy sobie jakiegoś ukrytego towaru. Postułka nie dosięgnął jeszcze lat pięćdziesięciu, twarz jednak miał tak pofałdowaną zmarszczkami, jak gdyby cudzą, dla niego za dużą, nosił na sobie skórę. Pod wysokim, opalonym czołem migotały mu bystre i ruchliwe oczy, których źrenice co chwila gwałtownie się rozszerzały. Ujrawszy Tabora, podniósł głowę, z której spadała żołnierska czapeczka austriacka, ziewnął głośno i otrzepując kapotę z piasku, spytał?

— No, cóż, *fertig*?

— Ani jutro — odrzekł Tabor.

— Czemu?

— Żaden nie chce. Kos powiada, że nie ma czasu, Kędzior że się boi, bo strażnicy go uważają.

— Zjedli po parę dyabłów, będę czekał, aż im pozwolą?

— Toć mówiłem.

— Niechby przynajmniej jeden z furmanką w lesie stanął, a to inaczej wszyscy się we wsi o tem płótnie dowiedzą. Przecież długo leżeć nie może.

— Oho — zawołał Tabor — przysłaniając oczy ręką, kapitan na granicy.

Postułka podniósł się do połowy, popatrzył i rzekł:

— Na karym koniu? To Capenko.

— Ach — westchnął Tabor — oddałbym wszystko to płótno, dodałbym drugie tyle, żeby stąd wzięli tego kałmuka...

— Capenkę? Łapie, jak każdy inny... Ale on wam podobno czego innego przemycać nie pozwala...

— Głupie gadanie. On mnie postanowił zgubę, przed kapitanem zadenucyował i ciebie także.

— To i co ma innego robić. A zresztą, na nim dyabeł nie długo stąd wyjedzie.

— Jakto?

— Za miesiąc kończy mu się służba, bierze odstawkę i idzie do domu.

— Postułka, ty wiesz na pewno?

— Cóż to za wielka tajemnica, wszyscy wiedzą.

— Bogu dzięki, Bogu dzięki! To ja jemu dam na drogę. Prawdziwe szczęście, ani się spodziewałem. Aj, aj!

— Ogród wydzierżawiliście?

— Nie jeszcze.

— Przecież trzeba się upewnić, a dobrze byłoby i tę chałupinę, co w nim pustką stoi, wynająć i Kosa osadzić. Jaki tam *loch*, widzieliście?

— Nie.

— Ba, dobry! No chodźmy do wsi, trzeba zaradzić, żeby kto płótna nie wyszpiegował.

Postułka wstał i z Táborem poszedł ku blizkiej austriackiej wiosce, gdzie była ukryta kontrabanda, którą do Królestwa przeprowadzić chcieli.

Koci, do zwierzęcej bystrości posunięty wzrok Postułki nie dojrzał jednak, że za nimi z daleka śledziło orle oko Capenki. Grefreiter długo przyglądał się z konia dwu postaciom, posuwającym się zwolna na drugiej stronie kordonu, wreszcie, gdy je stracił z widoku, rzekł podjechawszy do żołnierza:

— Ten meches będzie pewnie dziś w nocy coś przemycał. Pilnować!

Spiął konia i popędził wzdłuż pasa granicznego. Nagle, jak gdyby coś dostrzegł, zwolnił biegu i zwrócił się na miedzę obszernego łana kartofli. Miedzą tą szedł rzeczywiście pan Bróg, dziedzic Przesmyka. Dobrego wzrostu, wygolony na całej guzowatej twarzy, po nad którą w starannym porządku zwisały się białe włosy, w szlafroku, z obnażoną głową i fajką w ustach, postępował powoli, puszczając przed siebie niedostrzegalne kłaczki dymu. Tak ubrany, mimo żartów sąsiedzkich, wychodził zawsze na pole, na którym większą część dnia przebywał. Była to może resztką nałogu i przywiązania do stepów, w których Bróg młodość spędził. Sprzedawszy rozległy majątek na Podolu, przeniósł się do Królestwa, nabył Przesmyk, a że go starość znienacka zaskoczyła, a jakieś tam wspomnienia do małżeństwa zniechęciły, więc w starokawalerstwie postanowił życia dokończyć. Dzięki nieco i szorstki w stosunkach z ludźmi, Capenkę jako ziomka lubił i zawsze mu obiecywał dać list do jednego przyjaciela na Podolu...

— Aha, — zawołał spostrzegłszy gefreitera, który zlął z konia i czapką nisko się uklonił — po cóż mi to rolę tratujesz?

— Ot zobaczył pana i pomyślał prosić.

— Co nowego?

— Sprzedajcie mi ten ogród co Tábór dzierzawi.

— A tobie na licha? Za dwa miesiące odchodzisz.

— Jak sprzedacie, nie odejdę.

— W głowie tobie szort głupstwo wysiedziało, chcesz się tu osiedlić? Toż na Podolu masz rodziców.

— Możeby przyjechali.

— Człeku, co tobie? Czyś ty się tam nie wychował, że chcesz starych tu zwłóczyć? Pewnie kanalia polubił dziewczynę — hę?

— Już nie odrobić.

— A którą?

— Motylińską.

— Hulaj głupi! A to oszalał — nie znalazłbyś między swemi ładniejszych?

— To i cóż, ta się podobała.

— I myślisz się żenić?

— Koniecznie. Powiedziała, żeby kupić kawałek gruntu i z tem przyszedł do pana.

— Nie sprzedam, gubić cię nie chcę. To zwodnica.

— Nie gańcie panie, płocha małutka, ale się uspokoi.

— Ho, ho, nie na tym świecie. A masz pieniądze?

— Sto pięćdziesiąt rubli zebrał.

— Nie starczy.

— Pożyczę.

— Wtedy gadaj.

— Nie wydzierzawicie panie Tábórowi?

— Poczekam, przyjdź do mnie jutro, pogadamy.

— Dziękuję za łaskę.

— Dotąd nie masz za co. Bywaj zdrów.

— A gdy Capenka skłoniwszy się, siadł na konia, Bróg zawołał:

— Jutro, raniutko!

Już była godzina dziesiąta w nocy, kiedy służący zameldował Brogowi, że Tábór chce się z nim widzieć.



— Powiedz mu, że u mnie dzień się skończył.

Jakoż istotnie dziedzic Przesmyka, wytarłszy się mokrymi ręcznikami, legł spać.

Odprawiony Tabor, postawszy chwilę na dziedzińcu, podsunął się cicho pod okna oficyny, gdzie mieszkali Motylińscy, i zajął. Przy stole siedział Capenko z panną Hortensją, pisząc coś powoli. Tabor mruknął pod nosem, wsunął się szybko między drzewa ogrodu i zniknął. Kto wie nawet, czy w tej chwili nie był po części wdzięczny gefreiterowi, że ten zamiast pilnować granicy, miłosną poił się rozmową.

Właściwie Capenko pisał list do rodziców, w którym ich uwiadamił o swym zamiarze poślubienia panny Hortensji i osiedlenia się w Przesmyku. Ponieważ zaś tak ważnego aktu nie odważył się sporządzić bez wiedzy swej lubej, więc do współki z nią go układał. Brulion już był gotowy.

— No a teraz — rzekł gefreiter — panna Hortensya posłucha i może jakie słówko wtrąci: „Przenajukochańszy rodzicu...”

— Fe — zawoła panna Hortensya — kto pisze: „przenajukochańszy” i jeszcze „rodzicu.” U nas się mówi: „kochany tatu i mamciu.”

— Dobrze — rzekł Capenko — poprawiając nagłówek listu, poczem czytał dalej. „Z łaski Boga i zapomocą mego miłościwego patrona, wybrałem sobie za żonę...”

— Tak źle — przerwała panna Hortensya — trzeba napisać: serce moje miłością udęczone i pałające...

— To piękniej — mówił gefreiter, zapisując podyktowane słowa. „Pałające do Hortensji...”

— Co znowu? O pannie porządnej tak się odzywać! „Do Wielmożnej Panny — przez duże P — Hortensji Motylińskiej, córki rządcy dóbr Przesmyk...”

Capenko z zachwytem przeniósł na papier te słowa.

— „Bardzo ona piękna, rosła, zdrowa, troszkę tylko przytłusta...”

— Tfu — splunęła panna Hortensya — piszesz pan jak o dworskiej dziewczce. Przytłusta, przytłusta!... Panna Kulicz z Wólki Galeckiej, co jak drzazga wyschła, to lepsza. Wolę być taką, jak jestem, niż żeby mnie można było przeciągnąć przez dziurkę od igły.

— Więc jak? — spytał zawstydzony Capenko.

— Tabor to umie się wyrażać — odrzekła panna Hortensya. — On mówi na mnie: anioł, a panu jak się podoba.

— „Prawdziwy anioł” — pisał pospiesznie gefreiter. „Chociaż majątek ma chudy, ale...”

— Co takiego? — krzyknęła panna Hortensya. Kiedy ja dla pana za tłusta, a mój majątek za chudy, to poszukaj sobie takiej...

— Ale panienko droga, aniołku, gołabczko — błagał Capenko — ja przecież nie chciałem obrazić.

— To po cóż pan takie głupstwa piszesz?

— Napiszę, co każesz, panienko...

— Powiedz pan, że mam majątek szlachecki, a garderobę taką, że niech się niejedna dziedziczka w nos ukąsi. Ot, patrz pan!

To rzekłszy, otworzyła na oścież szafę, w której wisiały różnobarwne sukienki, chustki i szuba królikami podbita.

— Co prawda, to prawda — mówił zdumiony Capenko, przekreślając cały ustęp swego listu. „I dla tego całuję po synowsku wasze kolana — czytał dalej — i proszę nie odmówcie nam swego błogosławieństwa...”

— Proszę, proszę... przedrzeźniała panna Hortensya — jakbym ja to była na drodze znaleziona. Niby oni mnie łaskę robią. Co syn bartnika, to nie córka rządcy. Niech oni się za panem do mego taty i mamci wstawią — tak trzeba napisać. Ja panu powiadam... uh!

Panna Hortensya krzyknęła, gdyż na dworze rozległ się strzał. Capenko, usłyszawszy huk i domyśliwszy się, że na granicy musi być jakieś starcie, wypadł na dziedziniec i wszedł na uwiązane przy płocie konia. Od kordonu dolatywał gwar. Jeden z wartowników, dostrzegłszy w krzakach jakąś postać, przemykającą się do ogrodu Tabora i nie otrzymawszy na wezwanie żadnej odpowiedzi, strzelił. Ugodzony kulą kontrabandzista krzyknął i upadł. W tej chwili z krzaków zaczęło uciekać kilku ludzi, za którymi przybiegli na strzał żołnierze puścili się w pogoń. Właśnie Capenko nadjechał, gdy gromadka

strażników granicznych otaczała zabitego. Był to syn Postułki. Obok niego leżał worek napełniony sztukami płótna. Obszukawszy dalej, znaleziono kilka takichże pakunków, przezuconych do ogrodu.

— Podły meches — zawołał Capenko — on uciekł, chociaż on powinien tu zostać! Wy jego nie widzieli?

— Nie — odrzekli żołnierze.

— Jego kontrabanda — mówił gefreiter — ja go po południu widziałem z Postulką.

Gdy Capenko jechał do kapitana zdać raport, spostrzegł Tabora, siedzącego na ganku w swym domu i gwizdzącego jakąś wesołą melodyę.

— Dobry wieczór! — zawołał handlarz z dzikim śmiechem.

— Ja nie umrę, jeśli ciebie nie złapię — mruknął gefreiter i popędził dalej. Opowiadawszy kapitanowi zajście, jako chyły kochanek pojechał natychmiast Capenko do swej łubej, spodziewając się, że go czeka niespokojnie. Lecz jakież było jego zdumienie, gdy znalazł okno ciemne. Słuchał, nawet lekko zapukał, nikt się wewnątrz domu nie ruszył. Panna Hortensya spała, jak należało kochance zdrowej i trochę przytłustej. Ach, Capenko, po coś ty taki list napisał — możeby przemogła sen i czuwała!...

O ile ona przespała noc spokojnie, o tyle on przemęczył się dręczony przykrymi snami. Rano, zaraz po wschodzie słońca przyjechał do kapitana. Ten wydawszy rozporządzenia, dotyczące wczorajszego wypadku, wręczył mu list — od rodziny. Capenko nie mógł żołnierską sztywnością pokryć nadzwyczajnej radości. Wybiegłszy na podwórze, złamał pieczętkę koperty i zaczął czytać. Ledwie jednak przebiegł oczyma kilka wierszy, jęknął, opuścił ręce, usiadł bezwładnie na pobliskim kłocu i wyszeptał:

— Umarł, biedny rodzic i mnie widzieć nie doczekał...

Długo tak siedział boleśnie zadumany, zanim zdołał na tyle odzyskać przytomność, ażeby dokończyć czytania długiego listu. Matka donosiła mu, że ojciec, spadłszy z wysokiej barci, w kilka dni zakończył życie, że dziedzic wynagradzając wdowie wierną służbę męża, darował jej kilkadziesiąt ulów i że ona wygląda niecierpliwie chwili, kiedy syn wróci i w starości ją wesprze.

„A nie zostań tam, mój Damianku, mój ptaku — jabym tu ze strapienia się zagryzła” — pisała w końcu.

I tacy ludzie, jak Capenko, mają swoje chwile strasznej, rozpaczliwej walki uczuć, walki rozdzierającej serce i mieszejącej myśli w szalony oblęd. Co zrobić: czy porzucić pannę Hortensyę, czy starą, nieszczęśliwą matkę? Biedny tonął z boleści i nie widział żadnego w niej ratunku. Nareszcie, jak gdyby go szczęśliwa myśl olśniła, zerwał się, wskoczył na konia i popędził do domu. Gdyby kapitan widział go siadającego w izdebce do pisania wtedy, kiedy mu polecił natychmiast uwiadomić komorę o wczorajszym wypadku, nie poznałby swego gefreitra. Capenko bowiem pisał list do matki, pisał sam, bez udziału panny Hortensyi, a tak wyglądał, jak gdyby jej nie pozwolił na żadne poprawki. Bezwiedne czyny ludzkie objawiają czasem więcej rozumu, niż świadome. Capenko bezwiednie czuł, że na to jego pismo kochanka wpłynąć nie mogła. Lżejszy po zrzuceniu z piersi pierwszego smutku pojechał na komorę, gdzie przedewszystkiem list oddał. W dwie godziny przybiegł z powrotem i zaraz pospieszył do dworu.

— To u ciebie teraz dopiero raniutko? — zawołał ubierający się do wyjścia Bróg.

— Wczoraj kontrabandę złapali, człowieka zabili — tłumaczył się Capenko — musiałem jeździć po służbie.

— Jakże, ogród ci przez noc z głowy nie wywietrzył?

— Nie, panie, ja was dziś jeszcze serdeczniej proszę — sprzedajcie.

— A juści komuś sprzedam, bo do dyabła pomyślą, że ja z niego kontrabandzistom kryjówkę zrobiłem. Słyszę, że i w chałupie coś schowali?

— Tylko woreczek jedwabiu.

— Urwisy.

— Cóż tak płaczkliwie mówisz?

— Pismo dziś od matki otrzymałem, ojciec umarł.

— O, to głupio. Ale na cóż ci teraz ogród? Jedź do matki, gdy uwolnienie z wojska dostaniesz.

— Napisałem, żeby tu przyjechała.

— Człowieku, tyś nie wart mieć matki. Starą kobietę przez tyle świata wlec będziesz?

— Przyjedzie żelazną drogą.  
— Ty przekniesz kiedyś tę dziewczkę, co cię tak opętała. Nie, ogrodu nie sprzedam, kup sobie inny.

— Nikt do zbycia nie ma. Zmiłujcie się.  
— Nie dziś. Jak będziesz się żenił, przyjdź do mnie, pogadamy.  
— Pamiętajcie o mnie, panie.  
— Lepiej ty sam o sobie nie zapominaj.

Jakkolwiek Bróg ogrodu jeszcze nie sprzedał, a nawet nie wiadomo było, ile zań zażąda, to przecież Capenko wyszedł weselszy.

Gdy smutek długo się wpatruje w prostą naturę człowieka, jeden uśmiech radości zdoła go czasem rozproszyć. Od wczoraj gefreiter nie widział kochanki, do niej więc na chwilę pobiegł. Zbliżając się ku jej mieszkaniu, rozmyślał w duszy, czy mu wczorajsze swoje niezadowolenie z listu w imię dzisiejszej jego żaloby przebaczy, gdy na progu spotkał wychodzącego od Motylińskich Tabora. Obaj przeciwnicy zmierzyli się groźnym wzrokiem, który w handlarzu zdradzał ukryte szyderstwo a w gefreiterze — stłumiony gniew. Panna Hortensya była w domu sama, co nowym kolcem zraniło zazdrość Capenki.

— Dzień dobry — rzekł drżącym głosem.

— Dobry — odpowiedziała, nie odwracając się od lustra, przed którym przymierzała skończoną już żółtą chusteczkę.

— Panna Hortensya zdrowa, nie przestraszyła się wczoraj?

— Ja tam nie kuropatwa, żebym się strzałów bała.

— Człowieka zabili, a mówią, że Tabor go namówił.

— Widziałeś pan, że gadasz? Wszystkiemu Tabor winien. Żeby na sośnie gruszki urosły, to także byś pan na Tabora zmówił.

— Złodziej on, wybrany...

Pannę Hortensyę widocznie rozdrażniły słowa Capenki, bo oparłszy się na oknie, zaczęła z udaną wesołością nucić krakowiaka.

— Niech panna Hortensya mnie pożałuje — odezwał się po chwili milczenia — mam wielkie nieszczęście. Ojciec mi umarł.

Są dwa wyrazy i dwa wypadki: śmierć i małżeństwo, które zdolne są zawsze otworzyć usta kobiecie tego rodzaju, jak panna Hortensya.

— Umarł! — zawołała zdziwiona, wychodząc ze swej roli.

— Tak jest, dziś odebrałem list od matki, w którym mi donosi, że spadł z barci.

Na wspomnienie barci ekonomówna skrzywiła się i odzyskując swój zadąsany humor, rzekła:

— Młody może kitkę odwalić, stary musi.

Wzgardliwe te słowa głęboko zraniły Capenkę; to też bez namysłu rzekł:

— Jak tylko dadzą odstawkę, pojedę do matki.

Pannie Hortensyi pociemniało w oczach. Przeraziła ją bowiem obawa utraty konkurenta, którego czasami przeważał w jej sercu Tabor, ale który najbardziej ją ku sobie pociągał, zwłaszcza teraz, gdy go stracić miała. Stary meches, jako jedyny zalotnik, stanął przed jej oczyma tak szkaradny, jak przed chwilą był ponętny.

— Jedź pan — mówiła — przecież się nie utopię.

— Po cóż panienka ma się topić — wtrącił gefreiter — kiedy Tabor zostanie.

— Zabierz pan sobie tego merynosa.

Odpowiedź ta rozbroiła Capenkę. Poczul on litość nad kochanką i wyrzut, że ją tak niemiłosiernie doświadczał.

— Nie, panno Hortensyo — zawołał wzruszony — napisałem do matki, żeby do nas przyjechała.

— Żeby tu przyjechała, a cóż ona będzie robić? — spytała podniesionym głosem panna Hortensya, odzyskawszy utraconą przewagę. Przecież to prosta kobieta.

— Prosta, czy nie prosta — odparł poważnie Capenko — ale moja matka. Jej miejsce przy mnie.

Panna Hortensya milczała.

— Poradziłem jej, żeby sprzedała pasiekę, krowy, konia, trzodę, wszystkie graty i do pólki jeszcze ciepło, ruszyła w drogę.

— Posłałeś pan już list? — spytała panna Hortensya po chwili namysłu.



— Posłałem.

— To napisz pan drugi — rzekła rozkazującym tonem — żeby mi przywiozła kilka kawonów, kiedy u was tak się rodzą, bo u nas, u tego psa ogrodnika nie można się ani kawałka doprosić.

— A, bodaj mnie — krzyknął, uderzając się w czoło gefreiter — zupełnie zapomniałem, tak mi nieboszczyk rodzic rozum poplątał. Napiszę zaraz.

— Proszę powiedzieć, że mnie tem przyjemność zrobi.

— I to powiem — zapewniał Capenko, ściskając rękę kochanki i wpatrując się w nią czule.

— *Adiu, adiu* — mówiła, bo muszę iść do mamci na ogród.

Gdy Capenko wyszedł, panna Hortensya, przekonawszy się, że odjechał, stanęła przed zwierciadłem, zrzuciła żółtą chusteczkę, pod którą ukazał się na szyi sznur wielkich niebieskich paciorków. Uśmiechem szczerzego zadowolenia podziękowała w myśli — komu? Rzecz dziwna, że Capence w tej chwili koń na równej drodze się nie potknął.

Może dla tego, że w teje chwili Tabor wybierał się w daleką a przynajmniej w długą podróż. Zaniepokojony wczorajszym wypadkiem, w którym udział głucha wieść mu przypisywała, obawiając się rewizyi, a przytem chcąc porobić zakupy zboża w okolicy, postanowił na kilka tygodni wyjechać i wywieźć wszystko, co w domu niedość bezpiecznem było. Ażeby zaś nie budzić krzywdzących jego honor podejrzeń, upakował się i wyruszył prędzej, niż na ten odjazd zdołano zwrócić uwagę.

Gdy Capenko skończył drugi list do matki z prośbą o kawony, już Tabora w Przesmyku nie było, a dokąd się udał, wróble na dachach nie świergotały.

Gefreiter z jednej strony żałował, że lisa z łupem wypuścił, ale z drugiej strony rad był, że się od jego zrad, zwłaszcza w stosunku do panny Hortensyi, uwolnił. A potrzebował rzeczywiście spokoju, bo oto za miesiąc miał wystąpić z wojska, przygotować sobie dom, gospodarstwo, gniazdo dla żony. Co do tej ostatniej, jakkolwiek częste parokszymy Hortensyi nadcinały snujące się pasmo przyszłego ich połączenia, Capenko jednak porwane nici ciągle wiązywał i nie tracił nadziei, że na nich swe szczęście zawiesi.

Inaczej nie byłby przecież sprowadzał matki i nie kazał jej przywozić kawonów.

Ponieważ Bróg ze sprzedażą ogrodu się ościągł a jednocześnie pozwolił uprawić go a nawet pustką stojący dom zająć, więc Capenko zwolna, o ile służba nie przeszkadzała, zaczął gospodarować. Kilka szczęśliwych *poimek* pomnożyło mu znacznie kasę, ale w 150 rublach trudno znaleźć zbawienie.

— Ty waryat jesteś — rzekł raz do niego Bróg — chcesz ogród ode mnie nabyć, ale przeciesz ziemi jeść nie będziesz, a choćbyś tych kilka morgów zasiał, to i tak ci nie wystarczy. Ja pieniędzy twoich zaraz nie ląknę, kup sobie naprzód jakie sprzęty, krowę, drobiu, trzody chlewnej.

Capenko czuł w słowach dziedzica przyjacielską radę i dlatego jej usłuchał, a nawet objawił znaczną pomysłowość. Nietylko bowiem zaczął powoli gromadzić przyszłe swoje gospodarstwo, ale nawet zamierzył spróbować przemysłu. Jako syn pasiecznika, obznajmiony z hodowlą pszczół, nabył dziesięć ulów i zaraz po otrzymaniu dymisy miał je sprowadzić do ogrodu.

Nareszcie zbliżył się ten upragniony dzień. Kapitan zawezwał gefreitera i oznajmił mu, że wysłużwszy pięciolecie, może dalej pozostać w wojsku lub zeń wystąpić. Capenko prosił o uwolnienie. Zdjąwszy mundur i przebrawszy się w strój przesmyckiego obywatela, doznał tych samych wrażeń, jakich doznaje student opuszczający szkołę: poczuł radość, ale zarazem pewien niepokój, niepokój najprostszej zagadki: czy będzie mógł żyć? Jakkolwiek pytanie to było poważnem a jego rozwiązanie trudnem, nie mogło ono w pierwszej chwili zajmować ex-gefreitera. Włożywszy krochmalną, z zakładkami koszulę, nowy, w Kielcach kupiony surdut i fantastyczną z prążkowanego kortu czapkę, uśmiechnięty Capenko przejrzał się w lustrze i zadowolony ze swego widoku poszedł przedstawić się naprzód pannie Hortensyi. W tym jednak dniu silnych wrażeń jeszcze jedno, a może najsilniejsze go oczekiwało. Zbliżając się do mieszkania Motylińskich, spostrzegł idącego naprzeciw, od kilku tygodni niewidzianego Tabora. Zimny i przykry dreszcz przebiegł po nim w kilkakrotnych prądach. Handlarz zawsze był dlań upiorem, tem straszniejszym jednak obecnie, gdy się już nie bał jego minionej gefreiterowskiej

władzy. W miarę jak dwaj przeciwnicy zbliżali się do siebie, na twarzach ich malowało się wzburzenie.

— *Git, git*, panie Łapajko — odezwał się szyderczo pierwszy Tabor — wyglądasz pan jak przesmycki konsul. Pan podobno między nami się osiedla i ogród kupuje?

— A panu co do tego? — spytał groźnie Capenko.

— Nu, ja chciałby się tylko dowiedzieć, co pan teraz łapać będzie.

— Złapię ja ciebie naprzód za łeb, jeśli będziesz ciekawy! — krzyknął ex-gefreiter i tak gwałtownie przyskoczył do Tabora, że ten ledwie odbiedz zdołał. Poczekaj, jeszcze ja ciebie bez munduru z towarem w nocy upoluję!

W cichej, niemej walce dwu nieprzyjaciół był to drugi gwałtowny wybuch Capenki, prawie zadziwiający w jego łagodnym i miękkim charakterze. I dzięki może właśnie temu wybuchowi, wszedł on do panny Hortensyi swobodniejszy i weselszy, niżby się po takim spotkaniu spodziewać należało.

— No proszę mnie pochwalić, żem piękny — rzekł prawie wesoło.

Panna Hortensya spojrzała nań skrzywiona i bąknęła.

— Lepiej panu było w mundurze; w tem patrzysz pan na szewca.

— Aby tylko ładnego szewca, to mniejsza. No, panno Hortensyo, od dziś jestem wolny, trzeba nam pomyśleć o naszym gospodarstwie. Mam już dom, dwie krowy, troje prosiaków, dziesięć pni pszczół i ogród.

— Co to za gadanie — przecież z tego nie wyżyjemy.

— Nie bój się panno Hortensyo, zostało mi jeszcze pięćdziesiąt rubli a potem więcej się znajdzie.

— Ja tam bogatych lizać nie chcę, kiedy sama mogę być bogatą. Gdzie mam mieszkać? W ruderze, w której nawet stołka niema?

— Kupi się i stołek.

— Mebli trzeba, mebli, rozumiesz pan?

— To będą i meble.

Skąd jednak, Capenko dobrze nie wiedział. Do małżeństwa zabierał się trochę po żołniersku, lekceważąc konieczne warunki materyalne. To tylko było niezawodnem, że pracować i wywalczyć sobie byt pragnął, oraz że dąsy panny Hortensyi ze złudzeń go odzierały.

— Matka nie przyjeżdża — rzekł smutnie — myślałem, że trochę grosza wcześniej mi przywiezie.

— Ślicznie dostałam kawony!

— Cóż ja winien? — tłumaczył się Capenko. — Więc jakże panno Hortensyo?

— Naprzód pan dom urządź, niech będą kwiaty, firanki, lustro.

— Zrobi się — rzekł machinalnie — i wyszedł — do dworu.

Bróg przechadzał się po ogrodzie i próbował owoców. Spozstrzegłszy Capenkę, długo mu się przyglądał z daleka, wreszcie zawołał.

— A to, panie, elegant! Cóż tak się przedziergnąłeś?

— W odstawce już — rzekł kłaniając się Capenko.

— Jedziesz na Podole?

— Zostaję.

— Trudno, głupim umrzesz. I cóż myślisz robić?

— Przyszedłem jeszcze was prosić o sprzedanie ogrodu.

— Toż siedzisz już w nim. Ja ci powiedziałem: nie sprzedam aż w dzień ślubu, może się jeszcze namyślisz, nie chcę cię przykuwać. A zresztą, co przede mną kryjesz? Ja wiem, że pieniędzy wiele nie masz i na zagospodarowanie ci ich nie starczy. Czemu mnie męczysz, żebym ci ostatni grosz zabrał? Zamieszkać w tej chałupinie, zasiej ziemię, sprowadź sobie pszczoły, kiedy je kupiłeś, a jak zasmakujesz tu, pogadamy. Słuchaj, Capenko — mówił dalej Bróg po chwili — Motylińscy za córką posagu wiele nie dadzą, ziemia i ule was nie wyżywią — powinieneś pomyśleć o zarobku. Ot co ci powiem. Jesteś człowiekiem roztroptym, rzetelnym, zacznij pośredniczyć w sprzedaży zboża z kupcami zagranicznymi, możesz mieć za to procent. Ja cię zrobię moim agentem i innych obywateli zjednam.

Jakaś oślepiająca jasność oblała oczarowanego Capenkę. Stał niemy, drżący, z półotwartymi ustami, po których igrał lekki uśmiech, wreszcie rzucił się do ręki Broga i zaczął ją namiętnie całować.

— Dobrodzieju mój! — wołał rozrzuwiony — mój ojczel!

— Baba z ciebie, za co dziękujesz, ja za ciebie robić nie będę. Lepiej oto rozważ rzecz dobrze. Był u mnie dziś Tabor, który zboże od nas kupuje, powiedziałem mu, że tobie sprzedawać będę. Nie zawstydz mnie.

Capenko nic nie mówił, tylko kłaniał się, lzy ocierał i rozczulony odszedł. Jak był lekki, jak uniesiony, jak śmiało w przyszłość spoglądał, ten tylko wie, kto szukając pracy, niespodziewanie ją znalazł. Dla Capenki, który właściwie nie obmyślił sobie żadnego sposobu życia, lada projekt, nawet tak marzycielski, jak Broga, któremu się zdawało, że niedoświadczony w handlu ex-gefreiter wytrzyma współzawodnictwo z Taborami, był nie deską, ale całym okrętem zbawienia.

W pół godziny wszyscy we wsi już wiedzieli, że ex-gefreiter będzie komisantem najbogatszego w okolicy obywatela, a naturalnie wiedział o tem przed innymi Tabor. Gdy mu jednak o tem mówiono, rozśmiał się ironicznie.

— Ja u Capenki zostanę faktorem.

Na drugi dzień po tym wypadku udał się Tabon za granicę. W temże samem miejscu, co przed kilku tygodniami, spotkał leżącego przy drodze Postułkę.

— No i cóż — rzekł — Capenko zostaje w Przesmyku; kupił ogród od Broga i obiecuje strażnikom w łapaniu nas pomagać.

Postulka milczał.

— Na miejscu, gdzie ci syna zabił, będzie sadił kartofle.

— A czy to on zabił? Wicie już na pewno?

— Pociągnąłem za język żołnierzy, wygadali.

— Ha zbój! — targnął się Postulka.

— Albo to tylko ta jedna kula była na świecie, którą on wystrzelił — rzekł Tabor.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Swojemu nie żał ustąpić — odezwał się handlarz — ale nie takiemu kałmukowi, co z końca świata przypędzony, zamiast iść do domu, ludziom chleb wydziera nawet wtedy, gdy go sam nie zje. Czy my jemu na Podole włączymy? Czy my kiedy powiedzieliśmy: pojedziemy tam zakładać pasieki? A gdybyśmy pojechali, on by nas wygnał, on by krzyczał, co to jego ojczyzna. Jego ojczyzna wszędzie, gdzie on postawi swoje korytko. Wicie, on będzie zbożem handlował.

— Ma pieniądze?

— Nie nakradł nam towaru? Mówi, że z głodu nie umrze, dopóki Postulka żyje.

— Razem nie umrzemy — rzekł posepnie kontrabandzista, wstając z murawy i idąc z Taborem do wsi. — Co on teraz robi?

— Dniem i nocą plot grodzi. I w święta... Myślisz, że on chrześcijan? *Heide*. U księdza się spowiada, a dyabła się radzi. Śpiewa jakieś czarnoksiężstwa, co rano ziemię całuje. On nam nieszczęście na wieś sprowadzi. Wczoraj w nocy stał w ogrodzie i do księżycy coś gadał.

Poszli. I tym razem widział ich z okna swej wzniesionej na górze chaty Capenko, ale co oni jego już wtedy obchodzić mogli? Cały teraz zajęty swoim gospodarstwem, olśniony nadzieją szczęśliwej przyszłości, o niej tylko myślał.

Nazajutrz rano wstał ze wschodem słońca i zabierał się do opatrywania drzewek, gdy mu żołnierz przyniósł list od matki. Z nieopisanem drżeniem rozerwał Capenko kopertę. Co za radość! Matka donosiła, że wyprzedala już wszystko i że za dwa dni przyjedzie z kawonami, prosząc, ażeby przysłano po nią furmankę do kolei. Trudno się było taką wiadomością nie podzielić z panną Hortensyą, która przyjęła ją dumnie, ale łaskawie.

— Myślałam, że matka pańska nie będzie grzeczna.

— No, panno Hortensyo kochana, rzekł Capenko, teraz już wszystko gotowe, dajmy na zapowiedzi.

— O, nie, nie, nic pilnego.

— Ja czekać nie myślę.

— Ale ja myślę — odpowiedziała panna Hortensya stanowczo.

Capenko się poddał i smutny do domu wrócił. Dom ten przedstawiał już obraz schludnego i w potrzebne sprzęty zaopatrzonego mieszkania. Były w jednej izdebce nawet i firanki, kwiaty i lustro, nie mówiąc o nowej, zupełnie nowej komodzie, nad którą wisiała fotografia kochanki, ubranej w rękawiczki, z trzema na nich pierścionkami o wielkich oczkach. Jeszcze Capenko nie zdołał się przebrać, kiedy służąca Motylińskich przyniosła od panny Hortensyi kartkę, w której luba go uwiadamała, że poddaje się rozkazowi ojca i na zapowiedzie zezwała.

No, teraz już do miary jego szczęścia nic nie brakowało. Był gospodarzem, miał być komisantem zbożowym Broga i mężem panny Hortensyi. Przez cały też dzień śpiewał i sadził drzewka w ogrodzie. Już noc zapadła, a on jeszcze śpiewał zmęczony, spocony, myślą o przyszłości zajęty. A przyszłość rozpościerała przed nim wszystkie barwy, jak gdyby ich pożyczała od ubrania panny Hortensyi. Dla nasycenia się rozkoszą tych jasnych chwil, nawet ojciec zmartwychwstał i rozpromieniony patrzył na szczęście syna.

Właśnie Capenko wziął do ręki ostatnie drzewko, gdy usłyszał na granicy jakieś krzyki, tętent koni i nawoływanie strażników.

Oswojony z tego rodzaju wypadkami nie uczuł trwogi, ale raczej chęć udzielenia pomocy swym byłym towarzyszom. Machinalnie podszedł do otaczających ogród krzaków, gdy wtem rozległ się w nich strzał. Capenko jęknął i z drzewkiem w ręku padł martwy. Na odgłos huk przybiegło kilku żołnierzy. Kto strzelił w tem miejscu odległym od drogi, któregoś się jakiś człowiek z pustym workiem, jak gdyby dla ściągnięcia żołnierzy, przemykał, dlaczego zabił Capenkę — nikt nie wiedział, nawet Tabor, który przez cały ten czas siedział u siebie na ganku, wesoło pogwizdując.

Kiedy matka jechała z kawonami, Capenkę wieziono na cmentarz w towarzystwie nieliczej gromadki przyjaciół zmarłego, między którymi znajdował się i Tabor. Był on potrzebnym dla pocieszenia panny Hortensyi, która nad grobem serdecznie płakała i jeszcze wracając do domu, wdychała. Co jednak najbardziej dziwiło wszystkich na pogrzebie, to obecność Broga. Kiedy grób zasypano, odwrócił on się, utkwiał wzrok w odległy punkt za granicą i długo patrzył na jakiegoś człowieka w austriackiej czapeczce, leżącego na drodze, który zdawał się pogrzebowi przypatrywać.

— Biedny Capenko, ja ci to, żeś chciał być moim bratem i na naszej ziemi pracować — przebaczam.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/damian-capenko/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Świątchowski, *Obrazki powieściowe* [Pisma, T. I], G. Gebethner i Spółka, Kraków [1896].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0826-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).